Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Major Panica.

(Sylwetka)

Półwysep bałkański od lat stu jest gniazdem wszelkich rewolucyi. Mimo urzędowych zapewnień o panującym tamże porządku i ogólnej harmonii, wre tam i kipi nieustannie.

W Bułgaryi każde indywidnum albo jest rewolucyonistą, albo nim było.

Karawełów, Stambułów, Stojanów, Naczewicz — wszyscy ci panowie rozpoczęli swój zawód publiczny jako spiskowcy, co prawda w rozmaitych obozach...

I jakkolwiek dzisiejsza Bułgarya żywi o wiele żywszą antypatyę do politycznych awantur, niż to miało miejsce przed laty dziesięciu — to jednak nie brak tam i obecnie ludzi, którzy dla ambicyi, osobistego interesu, lub z powodu podejrzanego patryotyzmu, w każdej chwili gotowi są połączyć się z stronnictwem przewrotu.

Kto jest Panica?

Za wystawami sklepowemi w Sofii i w prowincyonalnych miastach, znajdziesz niechybnie jego fotografię. Panica w stroju macedońskim, jako chłop bułgarski, w mundurze majora, jako naczelnik ligi patryotycznej — wszędzie i zawsze Panica! Trudno o osobistość bardziej popularną, ściślej związaną z dziejami młodego księztwa. Nie obył się bez jego współudziału żaden ważniejszy akt rząd bułgarskiego a przynajmniejnie omieszkano go nigdy wyzyskać przy takiej sposobności.

Mamy właśnie przed sobą fotografię — świeżą jeszcze — przedstawiającą Stambułowa w uścisku z Panicą...

Zupełnie mylnie przedstawiałby sobie Panicę ktoś, ktoby sądził po jego sto niu w armii, iż ujrzy przed sobą militarną postać. Oficerowie bułgarscy w przeważnej części odznaczają się marsową postawą i pewną elegancyą. Panica nie posiada żadnej z tych zalet. Ubrany niedbale, trzyma się pochyło, długie kosmyki włosów spadają mu w nieładzie na wysokie czoło. Mówi głośno, krzykliwie; obejście jego chwilowo jest poufałem, to znów zdradza despotyczny charakter. Gdyby nie mundur, niktby w nim nie odgadł oficera sztabowego. Subordynacya jest dla niego czemś niepojętem i zdarzały się chwile, w których nie będąc przydzielonym do żadnego rodzaju broni, bujał sobie swobodnie po całym kraju, wieszając się przy pierwszym lepszym garnizonie.

Nie trudno dorozumieć się, że Panica nie był osobistością mile widzianą w naczelnych sferach wojskowych. Jego lekkomyślność i brak punktualności w służbie, wywoływały niejednokrotnie nieporozumienia ze starszyzną. Oszczędzano go jednak jako osobistość faworyzowaną przez rząd i całą ludność. Był czas, gdy Panica bez żadnej urzędowej misyi uwijał się po księstwie i rozwijał nader żywą agitacyę. Gdziekolwiek indziej stanowisko tego rodzaju byłoby niemożliwem — w Bułgaryi godzono się z tą wyjątkową sytuacyą.

Wobec starszyzny w armii broniły go zasługi położone w kampanii serbskiej. Jego męztwu przypisywano znaczną część zasługi w zwycięztwie pod Śliwnicą. Jako kapitan otrzymawszy od naczelnego wodza upoważnienie do werbowania ochotników zebrał pod swym sztandarem 15.000 hajduków macedońskich. Byli pomiędzy nimi i opryszki i kryminaliści a niemając nic do stracenia bili się jak lwy. Stopniem majora wynagrodzono wówczas dowódcę tej zbieraniny, a jakkolwiek Panica przestał później być jej naczelnikiem, jednakowoż pozostawał z nią w nieustannej styczności.

Stworzona przez niego liga patryotyczna macedońska, służyła rządowi bułgarskiemu częstokroć jako narzędzie wielce pożyteczne w dyplomatycznej akcyi. Ilekroć dyplomacya europejska poczęła się srożyć przeciw Bułgaryi, tyle razy pojawiała się na porządku dziennym kwestya ligi macedońskiej, jako widmo grożące zamieszką na półwyspie bałkańskim. Mieszkańcy Sofii w żywej jeszcze mają pamięci ów wjazd uroczysty, odbyty w lecie 1887 roku na czele legii macedońskiej przez Panicę. Tłumy ludu wyległy na ulice, by podziwiać błyszczące w promieniach słonecznych jatagany, kaftany szyte złotem i buchaste, białe fustanelle tych ogorzałych wojowników, którzy wśród hucznych okrzyków wjeżdżali w mury Sofii. Wierzono wówczas powszechnie w oswobodzenie Macedonii, w powstanie wielkiego królestwa bułgarskiego. I jeźli wówczas nie wybuchła rewolucya w Macedonii, jest to jedynie wynikiem niezdecydowanej postawy, jaką zajęli Bułgarzy.

Wielki ten patryota, marzący o stworzeniu wielkiego państwa bułgarskiego, stanął przed sądem pod obuchem zarzutu przekupstwa. Zarzucono mu zdradę ojczyzny za — rosyjskie ruble. Osadzono go w tem samem więzieniu; być może, iż zajął tę samą celę, w której przed kilkoma laty w patryotycznem uniesieniu wypoliczkował byłego prezydenta ministrów Karawełowa.

Bohater ludowy stanął na równi z Benderewem i Grujewem.

„Marcyana"

Dramat Antoniego Perfalla.

Na deskach wiedeńskiego teatru ludowego ukazała się w ostatnich czasach sztuka interesująca

o tyle ogół polski, ileże rozgrywa się na tle powstania styczniowego. Fabuła sztuki, przedstawia się jak następuje: Stary hrabia Miński zaślubia ubogą guwernantkę Marcyannę Dłuską, której majątek skonfiskował rząd rosyjski. Marcyana pokochała młodego hrabiego Włodzimierza Torskiego, ubiegającego się o rękę jej pasierbica. Chytra kobieta usidla w zupełności młodzieńca, lecz odpycha z udaną zgrozą miłosne jego zapały. Przypomina Włodzimierzowi, że stary hrabia był dobroczyńcą i przyjacielem jego ojca. W umyśle nieszczęsnego powstaje pod wpływem tych słów myśl zbrodnicza: Jeźli hrabia umrze, Marcyana będzie wolną! Wyjawia ją wobec hrabiny, która żegna go okrzykiem: Morderca! lecz sposób w jaki słowo to wypowiedziała, zdradza aż nadto dobrze jej utajone życzenia. Następnego dnia na polowaniu Włodzimierz mierząc do jelenia widzi przed sobą hrabiego Mińskiego. Bez namysłu strzela i zabija starca na miejscu. Czuje się tak dalece niewinnym, iż po upływie roku zamierza zaślubić Marcyanę, lecz w przededniu ślubu udaje się na miejsce popełnionej zbrodni i kończy samobójstwem. Marcyana ginie od kuli moskiewskiej.

Oto treść sztuki, która, mimo pewnych śmiesznych usterek (stary mąż trafiony miasto jelenia i t. d.) zyskała sobie uznanie wiedeńskiej krytyki.

Nie bez racyi podnosi wszakże jedno z pism tamtejszych okoliczność, iż po *Makbecie* suggestya jest tematem niebezpiecznym dla autora dramatycznego.

„Śmierć Luciusa“.

Nie wiem, skąd to pochodzi, ale jest faktem niezaprzeczonym, że wiadomości nasze z zakresu obcych piśmiennictw przedstawiają się bardzo niekorzystnie. Literaturę rosyjską np. mało kto zna w najogólniejszych nawet zarysach; wiadomo nam ledwie, że był jakiś Puszkin, Lermontow, Turgeniew, że żyje podobno dotąd (czy na pewne, któżby się o to troszczył?) Lew Tołstoj lub inny — i sądzimy, że to wystarcza. A przecie piśmiennictwo rosyjskie jest bardzo bogatem, znajduje się w stanie rozkwitu i zdobyło sobie poważanie u narodu nawet tak przesiąkniętego szowinizmem — jak Niemcy.

Wroga można nienawidzieć — znać go, nigdy nie zawadzi. Zapominając o tem, usprawiedliwiamy naszą nieznajomość słusznym żalem, jaki tkwi w polskich sercach względem Rosji.

Nie jest to jednak usprawiedliwienie. W dziedzinie sztuki i wiedzy winny zamilknąć urazy, choćby najsłuszniejsze, bo tylko piękno i prawda, władają tą dziedziną, a one jednakowo sądzą Polaka, jak Rosjanina, Niemca, jak Hotentota.

Poprzedzamy rzecz naszą tym wstępem, bo dziwnem prawie się dziś zdaje, jeśli ktoś zwraca uwagę na utwory rosyjskie. A jednak — powtarzamy raz jeszcze — nie brak tam rzeczy uwagi godnych. Co więcej, z każdym dniem niemal rośnie ich liczba.

Dzieło, o którem dziś pomówić chcemy, użyczyło nam swego napisu, a wyszło z pod pióra mało jeszcze znanego nawet i w Rosji pisarza, Maikowa. Jestto dramat liryczny, rzecz absolutnie nie dla sceny, ale w czytaniu bardzo piękna. Poeta przedstawia w swym utworze śmierć filozofa Seneki, poety Lukanusa i epikurejczka Luciusa. Reprezentują oni trzy różne prądy, upadające razem z swymi przedstawicielami. W lirycznym dramacie — będącym w gruncie aljażem zbyt sprzecznych form poezji — trudno oczywiście wymagać żywej akcji. „*Śmierć Luciusa*“ nie posiada jej wcale. Podziw budzi tu co innego: pogłębienie myśli, szlachetna, pełna namaszczenia dykcja i barwna, prawdziwie poetyczna reprodukcja uczuć.

Utwór ma nadto inne, donioślejsze znaczenie, niż to, jakie cechuje utwory wyłącznie z estetycznego punktu widzenia udatne. Nietrudno odczuć w nim aluzji. Przeszłość odległa, czasy Nerona, służą tu jako symbol teraźniejszości. Jedno, co dysonansem razi nas w harmonijnej całości, jest zakończenie. Lucianus widzi złe, w którem świat się pogrąża, brak mu jednak wiary, aby ono się odmieniło, a przynajmniej nie widzi punktu wyjścia z matni, w jaką ludzkość samowolnie siebie wepchnęła. Równy pesymizm odzywa się w przedzgonnych słowach Seneki; jedynie epikurejczyk, materjalista, bez obawy spogląda w przyszłość, bo jego bóstwem jest materja, nie ulegająca nigdy zniszczeniu, odradzająca się z popiołów natychmiast, jak feniks do nowego życia. Owoż ta pociecha jest niedostateczną. Człowiek na dzisiejszym stopniu cywilizacji, przedstawia istotę tak silnie zorganizowaną duchowo, że samo poczucie wiekuistości materjalnej już mu nie wystarcza. Rozdźwięk właśnie pomiędzy życiem materjalnem a psychicznem, jest klątwą ludzkości a jednostronne traktowanie któreg kolwiek z tych czynników z pomnięciem drugiego nie może dać zadowolenia jednostce, ani szczęścia całej ludzkości.

Wyrządzilibyśmy jednak autorowi krzywdę, przedstawiając jego dzieło jako apoteozę epikureizmu. Liryczny dramat Maikowa mimo wyłuszczonej przez nas konkluzji czerpie znaczną część swego blasku ze źródeł idealizmu. Już sam charakter formy, liryczno dramatyczny, przemawia za tem. Materjalizm skrajny zwykł odzywać się w sposób konkretniejszy, bliższy życiowej nagiej prawdzie. Maszyna dramatyczna nakłada w utworze Maikowa pęta uczuciowości przesadnej, z drugiej jednak strony liryzm, nie tuzinkowy, lecz ów głęboki liryzm prawdziwego uczucia, łagodzi zbyt surowe rysy prawdy życiowej. Ta dwoistość wyszła więc tu wyjątkowo na dobre utworowi, co tem dziwniejsze, że zazwyczaj tylko szkodę przynosi ona dziełom sztuki.

St. R.

W kawiarence.

W kawiarence po północy
Pan Antoni z panem Janem
Wiodą dyskurs polityczny
W rozdrażnieniu niestykanem.
W mig się zmienia świata postać
I wszelakich państw granica;
Gwałt i przemoc przed słusznością
W prochu korzą swoje lica.

Sroga hydra socjalizmu
Jak kret chowa się do nory;
Przy równości pracy, mienia
Któżby wielbił te potwory?
Blaski szczęścia nowa era
Światu odtąd zsyłać będzie,
I zabłyśnie wszędzie wolność
I dobrobyt błyśnie wszędzie...

* * *

W kawiarence, po północy
Julek z Dziuniem przy herbatce
Układają plany szczytne,
Jak Parnasu wielcy władce.
Julek gromi sentymenta,
Pesymizmy, złudne bole —
Dziunio, choć nie czytał Zoli,
Rzuca gromów sto na Zolę.
Dłużej trwać to już nie może,
Sztuka — pewna rzecz — upada,
Jest dziś ona albo brudna,
Albo znów jak upiór blada.
Nowym torem trzeba pochnąć
Jej dążenia i ideje
— Julek dramat ma napisać,
Dziunio wielką epopeję.
W obu dziełach jaśnieć musi
Prawda i błysk myśli Bożej —
Świat na widok tych arcydzieł
Może oczy raz otworzy!

* * *

W kawiarence po północy
Dużo innych bywa ludzi —
W kawiarence po północy
Mrzonka j sna wszystkich łudzi.
Każdy tam swych myśli pięknych
Nieochybny tryumf święci:
Jan, Antoni — dyurniści,
Julek, Dziunio — dwaj studenci,
Kawiarenka dla ich duchów
Jak zbawienny jest lazaret;
Czarodziejskim, zda się nimbem
Gęsty, duszny dym cygaret,
W nieskończoność palą, piją,
Plany tworząc jak mocarze;
Marzą, marzą w nieskończoność
Póki... marzeń świt nie zmaże.

Mazagran.

Jabłuszka zielone.

(OBRAZEK)

(Dokończenie).

Cieniste, długie rzęsy Maryni opadły na dół, aż ku policzkom, a z piersi westchnienie się wyrwało. Nie rzekła nic. Janina spojrzała na nią głęboko swem aksamitnem spokojnem okiem i mówiła dalej:

— Obiedwie zbliżamy się zaledwie do trzydziestki. Wszak to podobno wiek najpiękniejszy i niebezpieczny zarazem dla kobiety. Przyznaję się, że nie czuję tego niebezpieczeństwa. Ale czuję się młodą, wesołą, prawie szczęśliwą. Taką i ciebie pamiętam. Czemu więc dziś tak smutnie na dół patrzysz? Spojrz mi w oczy jak dawniej i mów.

Marynia podniosła swój jasny, melancholijny wzrok na mówiącą i rzekła po chwili:

— Poco mówić o teraźniejszości? Czyż my nie mamy miljonów dawnych wspomnień, które nas wiążą, które się w życie nam wplotły, jak kwiaty prześliczne, wonne, a nigdy nie więdnące? Czy ty pamiętasz to wszystko!

— Czy pamiętam? — zaśmiała się Janina. — Czy pamiętam, ale widzę, słyszę, czuję, jestem cała w tych wspomnieniach, mianowicie, kiedy na ciebie patrzę... widzę się dzieckiem, dziewczynką, podlotkiem, panienką, narzeczoną, mężatką młodą, bo przecież przy tem wszystkiem zawsze ty byłaś, przyjaciółką, druchną, powiernicą... A z całej tej wiązanki wspomnień, pozostało mi tylko to, co było dobre, wesołe i przyjemne. W bukiecie wspomnień nie pamięta się kolców, tylko same róże, ich woń i barwę. Wszak prawda Maryniu? Czy ty doświadczasz, że to tylko dawne czase się przypominają?...

— Tak zawsze bywa na świecie! — rzekła Marynia, której smutne oczy rozpogadzały się w miarę, jak przyjaciółka mówiła. — Tak bywa zwykle; zresztą w tych pamiątkach naszych cóż za kolce były?... jakie błahe i jak mało bolesne... Chyba czasem bura od mamy za głupstwo jakie lub przewinienie niewinne...

— Aaa... przepraszam! — mówiła Janina — ty przez lat kilka, mniej więcej od piętnastego roku życia, aż do pójścia za mąż, miałaś jedną wielką boleść, ciągłą, nieustającą...

— Jaką?

— Bo nie zjawił się ów rycerz piękny a bohaterski, z piórami strusiemi na złotym hełmie, z gwiazdą genjuszu na czole, o którym marzyłaś nieustannie... Czy masz dotąd pretensję do niego za to, że się nie ukazał i nie porwał cię ze sobą na siodło spienionego rumaka? Nie zjawił się, tyś poszła za mąż — i dobrze było. Prawda?

Marynia znów nic nie rzekła i znów oczy długiemi zasłoniła rzęsami.

Po chwili wyszeptała, jakby do siebie:

— Nie zjawił się!...

I znów westchnęła głęboko, poczem dodała:

— O, bo ty zawsze byłaś tym rozsądkiem, duchem dobrym, apostołem wesela i spokoju. Koiłaś mnie zawsze i rozkołysaną fantazję umiałaś zwrócić na drogę właściwą... Czemuż los mi kazał rozstać się z tobą!...

Ale Janina nie zważała na te słowa i rozbawiona wspomnieniami, szczebiotała dalej z pogodnym uśmiechem:

— Pamiętasz książki zakazane, które wykradłam cioci z bibljoteczki... „Świat i poeta“. Co to był za kryminał, kiedy go w moim panieńskim pokoju odkryto! A „Ulana...“ Jaką straszną dostałyśmy burę!... Cóż dopiero kiedy nas schwytano czytające chciwie „Tadeusza Bezimiennego.“ Zdawało się, że zbrodnia nasza tak ciężką, że nigdy nam jej nie przebaczą. Twoja matka zaraz do spowiedzi nam iść kazała.

— I za karę nie miałyśmy jechać na bal w sąsiedztwo.

— Dopiero twój ojciec nas wyprosił. Pojechałyśmy i bawiłyśmy się cudownie!

— Pamiętasz, jakie miałyśmy suknie na tym balu?...

— Doskonale... ty miałaś różową sukienkę różę we włosach, a ja sukienkę białą, narzuc oną fijołkami...

— Pamiętam nawet z kim tańczyłyśmy obiedwie — dodała Janina.

— I ja pamiętam. Był wtedy, Janinko, kuzynek twój na tym balu, student, bardzo przystojny. Tańczyłam z nim wiele. Byłabym się nawet pokochała w nim może, gdyby nie..

— Gdyby?...

— Gdyby nie koniec wakacji; na drugi dzień pojechał do szkół i koniec romansu! — zaśmiała się Marynia.

— Choć nie miał piór strusich na złotym hełmie i gwiazdy nad czołem?

Wszystko jedno. Mógł mieć... A co się z nim tało?

— Ho, ho! ożenił się, utył i wyłysiał, gospodaruje, ma sześcioro dzieci i pewnie radcą będzie z czasem...

— Tak?... Ożenił się, utył i wyłysiał... Patrzaj nie byłabym nigdy przypuszczała. Taki był smukły, ładny i tańczył bardzo zgrabnie.

Rozśmiały się obiedwie kobiety serdecznie i znowu się uściskały.

Nastąpiła chwila milczenia.

Nagle Janina wybuchła śmiechem i zawołała:

— A pamiętasz jabłuszka niedojrzałe?

— Jakie? — zapytała Marynia.

— Jakie? pytasz. Boże mój, czy nie przypominasz sobie, jak obiedwie z matkami do wód pojechałyśmy za granicę. Mieszkałyśmy w jednym pokoju, a matki nasze obok.

— A prawda, rzekła Marja.

— Leczyłyśmy się, ponieważ zaś był czerwiec, więc oprócz wielu innych zakazów, przestrzegano nas uroczyście przed owocami niedojrzałemi, jako przed trucizną śmiertelną.

-- Skutkiem tego miałyśmy pełne szuflady zielonych niedojrzałych jabłuszek, które zajadałyśmy z takim smakiem, jakby to były delicje najpiękniejsze... i nic nam nie szkodziły.

— A jak smakowały; pamiętam smak ten cierpki, kwaśny, ale przecież doskonały.

— A wiesz czemu tak nam smakowały? — mówiła filuternie Janina.

— Dla czego?

— Bo to był owoc zakazany!

Marynia uśmiechnęła się smutnie i dodała:

— Tak, tak! zakazany owoc, ale istotnie nieszkodliwy!

— Mój Boże! — rzekła Janina — jeśli wszystkie owoce zakazane w życiu są tak nieszkodliwe, jak owe jabłka zielone, a równie kwaśne i cierpkie, toby nie warto grzeszyć.

Marja oczy spuściła na dół, podparła się na dłoni i zamyśliła głęboko.

— Zresztą, mówiła wesoło Janina — zdaje mi się, że to pewnie jedyny owoc zakazany, jakiego w życiu kosztowałam. Dobrze przynajmniej, żem tego spróbowała... Ach! jakie to było zabawne!

Ale Marynię przestało nagle bawić wesołe wspomnienie.

Ze spuszczonemi oczyma zdawała się myśleć głęboko i posmutniała nagle bez przyczyny. Po chwili podniosła piękną głowę i wtedy spostrzegła Janina, że wzrok jej znów przybladł i stał się szklistym. Jasne oczy patrzyły znów gdzieś w dal, jak przedtem, zdawały się przebijać ciemność i utkwione były, jakby w punkt jakiś, dla duszy tylko widzialny...

Janina wzięła ją za rękę i rzekła:

— Co ci to, Maryniu droga? Dla czego posmutniałaś? I dla czego wzrok twój znów stał się tak dziwnym?

Marynia, jakby nie słysząc tych słów, zaczęła mówić, urywanym, cichym szeptem, a w głosie jej był wielki smutek i boleść:

— Nic mi, złota moja, kochana Janinko.. Jakaś ty szczęśliwa... Jak ci zazdroszczę... Wierzaj mi, szczęśliwa kobieta, która, prócz zielonych jabłuszek, nie zaznała innego zakazanego owocu!... Tamte były cierpkie, ale smakowały, kwaśne i niedobre, ale nieszkodliwe... Słuchaj, co powiem! Każden inny owoc zakazany, choć na pozór ani kwaśny, ani cierpki, pozostawia po sobie straszny niesmak, wielkie cierpienie i odbiera spokój na zawsze... Na zawsze, mówię ci... A choć są chwile, w których się zdaje, że cierpienie ustało, że ból minął, to nagle, czujesz go w całej potędze... Szczęśliwaś, szczęśliwa, Janino moja! Dla tego wzrok twój pogodny taki, spokojny i jasny... Nie pytaj, dla czego mój posmutniał i stał się szklistym...

Tu Marynia zatrzymała się i jakby czując, że powiedziała może za wiele, wyrwała ręce z uścisku przyjaciółki, zasłoniła sobie oczy dłoniami, chwilkę siedziała tak bez ruchu, aż nagle na twarzy jej ukazały się łzy i ciche, tłumione ozwało się łkanie...

Janina patrzyła na nią długo, badawczo. Nareszcie usiadła obok niej, objęła ją w pół i przycisnęła z lekka do siebie... Długo, długo siedziały obiedwie kobiety w tym uścisku. Marynia nie odrywała rąk od oczu i płakała ciągle. Na twarzy Janiny powoli głęboki smutek zastąpił wyraz pogody, i wesela, a piękne, ciemne, spokojne oczy, zaczęły zachodzić łzą współczucia i żalu...

Już tej nocy nie poruszano nuty wspomnień i nie było widać ani jednego uśmiechu, któryby twarze rozjaśnił.

A na dworze ciemnica panowała, jak przedtem, wiatr świszczał, deszcz brzęczał fałszywie po szybach...

Nareszcie zgasły światełka w wagonie i był tylko jeden wielki mrok i jedna wielka ciemność.

Pociąg biegł dalej...

I. Z. K.